

Kronika tygodniowa.

Ze względu na okoliczność, iż poprzednia kronika, wbrew mej woli, stała się właściwie tylko rubryką „odpowiedzi Redakcyi“, tak, że na omówienie najaktualniejszych spraw pozostało tylko bardzo niewiele miejsca, w tym tygodniu będę już ostrożniejszym, zwłaszcza, że na porządku dziennym mam przedewszystkiem złożenie życzeń „Wesołego Alleluja“ Szanownym Czytelnikom i Czytelniczkom, a byłoby bardzo brzydko, gdyby właśnie na nie miejsca zabrakło.

Od tego więc zaczynam.

Czego mam życzyć, o to nie trzeba się chyba pytać ani serca, ani rozumu, bo wszyscy ożywieni jesteśmy dziś z pewnością jedną myślą i mamy jedno życzenie, które wszystko inne spędza na plan drugi, to jest pragniemy, aby ta wojna już się raz skończyła, byśmy mogli odetchnąć swobodniej. Nie było nam danem łamać się z końcem ubiegłego roku „pokojujowym“ opłatkami, już choćby tylko z tej racji, że kruchoby było z opłatkami, obecnie nie możemy się dzielić „pokojujowem“ jajkiem, gdyż o pokój ani słychem, a i jajek też niema. Nasze pocziwe kury, które dotąd nigdy się nie mieszały do polityki, przestrzegając stale neutralności, w danym wypadku poszły w ślady centrali obrotu zbożem i znoszą wprawdzie jajka, ale nie dla nas, którzy je żywimy, ale dla zagranicy, wieszającej stale psy na Galicyi, ale zabierającej stąd, co się tylko da zabrać.

Obejdziemy się przecież bez jajek, tak jak obeziliśmy się bez opłatków, składając sobie życzenia bez tych dodatków, bez których nikt nie mógł sobie nawet świąt wyobrazić. Wojna przecież czy różnych rzeczy, nauczyła nas też obchodzić się bez różnych rzeczy, dawniej uważanych za niezbędne.

Nie biorę więc nawet widelca w rękę, ale jeno pióro kronikarskie w niej dzierżąc, składam wszem wobec i każdemu z osobna, bez względu na to, czy on lub ona jest płatcem regularnie przedpłatę Prenumeratorem, czyli też tylko dorywczym Czytelnikiem, zamiast życzeń „Wesołego Alleluja“, życzenia końca wojny i jak najrychlejszego nastania tak upragnionego pokoju.

Wiosna, która w dniu dwudziestego pierwszego marca prawdziwie wiosennym deszczem rozpoczęła swe panowanie, budząc wszystko do nowego życia i zmywając kurz i brzo z ulic naszego grodu, budzi i w naszym sercu nadzieję lepszej przyszłości, mającej zagoić te rany, jakie nam owe cztery lata wojny zadały.

A wiele czasu będzie na to potrzeba, bo to, co łatwo idzie w niwecz, nie tak rychło się naprawia, zwłaszcza, jeżeli się jest zdany, tak jak my, na własne tylko siły, a nie można się znikąd spodziewać obcej pomocy. Dopóki nas potrzebowało, byliśmy na ustach wszystkich, którzy widzieli w tem jakiś swój interes, z chwilą gdy się konjunktury zmieniły i przekonano się, że się bez nas można obejść, zamast owych złotych gór, jakie nam obiecywano, ale w oddaleniu, pokazano nam z bliska ale... figa! I jeszcze kazano się nam nią cieszyć, boć to przecież figa należy dziś do rzadkości.

Optymiści, których u nas nigdy nie brakło, widząc co się święci, puszczali też nosy na kwiaty, pesymiści natomiast podnieśli głowy i twierdzą, że przecież oni mieli rację, dopatrując się stale dziury na całym, ale tak jedni, jak i drudzy zgadzają się na jedno, że w samej rzeczy puszczone nas z kwitkiem i że owa polityczna wiosna, której z takim utęsknieniem oczekiwaliśmy, jest jeszcze conajmniej bardzo daleko.

Drugie więc życzenie, z jakim dziś kronikarz spieszy pomiędzy Czytelników i z siłą i mocą trąby archańskie głosi je *urbi et orbi*, jest, abyśmy doczekali jak najrychlejszej tej drugiej właśnie wiosny, nazywającej się polityczną. Spóźniła się ona, co prawda, ale przecież w zupełności jeszcze nie przepadła, a wiadomo, że „żywi nie powinni tracić nadziei...“

Ciekać na jej przyjęcie nie można jednak z założeniami rękami, trzeba się wziąć energicznie do pracy, by przyspieszyć jej nastanie, a porzucić mrzonki, że kto inny robi za nas to, co my sami zrobić powinniśmy. Weźmy sobie przykład choćby tylko z naszych sąiadów od wschodniej strony, nazywających się dawniej Rusinami, a dziś Ukraińcami. Nie oglądając się na nikogo, jakimi drogami, to mniejsza, ale doszli do tego, czego pragnęli, obiecano im nawet więcej, niż sami żądali, gdy nam tymczasem kazano czekać aż dojrzeje owa figa rosnąca za tą górą. Gdyby nasi przedawiciele i zastępcy mieli i chcieli chodźć tak koło narodowych interesów, jak to czynili reprezentanci Ruśców, dziś w chwili tak uroczystej, mielibyśmy inne miły i nie bylibyśmy zmu-

szeni cieszyć się tylko wspomnieniem, że i z nami się kiedyś poważnie liczone, tak, jak cieszymy się przywodem sobie na myśl owego jajka wielkanocnego, bez którego obejść się trzeba, gdyż tak się stosunki złożyły i wyższa polityka tego wymaga.

Ale, ze względu na owo wyżej przytoczone zdanie, „niech żywi nie tracą nadziei“, nie traćmy jej w samej rzeczy, boć jesteśmy przecież żywym organizmem i właśnie teraz zrozumieniem sytuacji i energicznością, a solidarnym dążeniem do upragnionych celów dajmy dowód tej naszej żywotności.

Zbyt ustąpiłbym i wiecznie cofającym się, aby innym zrobić miejsce, gdyż w przeciwnym razie mógłby to kto wziąć za złe, nigdy się być nie powinno. Taki prędko, czy później znajdzie się za drzwiami, gdy tymczasem ci co zajęli jego miejsce, zasiądą za stołem przy pełnej misie.

Takiej polityki trzymali się Rusini i jak się po kazalo, dobrze na niej wyszli. Ale oni mieli na swem czele ludzi, nie dających się niczem zbić z raz obranej drogi i nie wierzących w obietnice głołosłowne, ale żądających zawsze ich realzacji, gdy tymczasem nasi przedownicy, o których się powiada, że to „mężowie, posiwiali w służbie narodowej“, krętili się, niczem kołowrotki, w miarę tego, z której strony wiatr po wiał, bali się narażenia się wpływowym czynnikom i stale wyciągali dla innych gorące kasztany z pieca, aż sobie nareszcie palce poparzyli.

Gdy ból dokuczył, otwarły się im oczy, zaczęli dmuchać i chuchać, a nawet ten i ów powążył się głośniejszym krzyknąć, ale zaraz znalazła się jakaś maść, czyli też jakowyś plaster, który ból uśmierzył.

I wrócili na dawne tory, na których tak im było wygodnie i potoczyło się Koło Polskie znowu tą samą drogą co pierwsi, a choć trzeszczy i grozi lada chwila rozsypaniem, przecież żywi nadzieją, że dojdzie do celu.

Dalby to Bóg!... Ale również łatwo się i to stać może, że ono się w samej rzeczy rozsypie, a wówczas wyrzucą je pomiędzy stare rupiecie, skąd tylko jedno wyjście, do pieca na podpałkę.

Aby się to nie stało, oto trzecie i ostatnie życzenie kronikarza z okazji zbliżających się świąt Wielkiejnocy, będących z kolei czwartymi wojennymi. Czwarty raz życzę też pod wrażeniem owej wojny, ale z roku na rok z coraz rzadszą miną, zwłaszcza, że się moje życzenia w żaden sposób nie chcą spełnić. Ale rok 1918 tem się różni od swych poprzedników, że właśnie w same święta, to jest w druzgich dzień, przypada pierwszego kwietnia, to jest „zwozdziela“. Ponieważ zaś obecnie wszystko idzie na opak, czego dowodem, iż w karnawale kazał nam magistrat jeść śledzie, a w wielkim poście nawet konystorz pozwoił używać do omasty potraw tłuszczów zwierzęcych, kto wie, czy i życzenia, które mógłby ktoś zapisać na karb pierwszego kwietnia, właśnie dlatego się nie spełnią?

Dawniej mówiono prawdę rok cały, zwozdono się zaś tylko raz na „Prima Aprilis“, dziś zaś dzieje się odwrotnie. Cały rok zwozdi jeden drugiego i łze, jak najęty, niechajże więc bodaj dzień pierwszego kwietnia będzie wyjątkiem.

W owym dniu proszę sobie przeczytać kronikarskie życzenia, a kto wie, czy właśnie dlatego się nie spełnią i czy następnych świąt Wielkanocnych nie będziemy już mogli spędzić pod znakiem pokoju, dzieląc się jajkami święconem nie tylko w imaginacji, ale w rzeczywistości.

Że się święta zbliżają, tego nikt z nas właściwie nie czuje. Po inne lata o tym czasie wrzało w każdym domu od przygotowań, gospodyni łamała sobie już dziś głowę nad tem, czem uraczyć miłych gości, by nie uchybić starym tradycjom rodzinnym.

A dziś?

Dziś żyje się tylko wspomnieniem tego, co było, a przeszło i prosi się Boga, by też kroki przyjaciół i znajomych skierował gdzieś indziej...

Bo i czamże ich przyjąć, skoro, jak już poprzednio wspomniałem, prawie wszystkiego, bez czego nikt nie potrafił sobie dawniej wyobrazić świąt Wielkiejnocy, zupełnie brak, a na sprawienie sobie choćby tylko średniej wielkości szynki, trzeba poświęcić pełną płacę urzędnika dziewiętej rangi wraz z dodatkiem drożdżajnym. Wiadomo zresztą, że nie tylko samą szynką żyje człowiek.

To samo, co pisałem w poprzednich kronikach w kwestyi nakarmienia siebie i łaknących gości, da się powtórzyć i o wszelkiej trunkowości, która dawniej, już od wielkiej soboty wieczór (po rezurekcyi), aż do wtorku (Rękawka) włącznie stanowiła do pewnego stopnia środek zaradczy, chroniący przeciętnego obywatela i czcigodną jego połowicę od przykrych następstw, jakie zwykle za sobą pociąga nadużycie potraw zbyt tłustych, źle działających na osłabione Wielkim Postem organa wewnętrzne. Mawiali nasi ojcowie: „wieprzowina potrzebuje wina“ i było im z tem i dobrze

i zdrowo, kto inaczej postępował musiał szukać potem pomocy w łacińskiej kuchni i napychać swem grosiwem aptekarską kabzę.

Dziś się czasy o tyle zmieniły, iż z powodu braku wieprzowiny obejdzie się każdy zupełnie i bez wina, które należy również do artykułów, dostępnych jedynie dla wybranych, to jest tych, którzy na wojnie jakiś niezgorszy interes już zrobili.

Uczono nas, że wino węgierskie rodzi się na Węgrzech i stamtąd do nas przychodzi, dziś wiemy przecież, że ojczyzną jego mogą być i Belany, a węgierskich zalet nabywa w piwnicach naszych producentów. M mo to, że wobec tego przy jego fabrykacji zupełnie dobrze można się obejść bez winogron, co jest bardzo ważne ze względu na koszt i filokserę, doszło ono już do cen prawie niemożliwych, tak, że flaszki, już nie wina węgierskiego, ale lichej deszczówki, niżej dziesięciu koron się nie dostanie.

I jak tu wobec tego być uczciwym chrześcijaninem i „pragnącego“ napoić?

Nie lepiej ma się rzecz z naszym ziemniaczanym produktem, to jest spirytusem (emu dała radą odpowiednia centrala, robiąc przy jego pomocy milionerów ze swych ulubieńców...) i wywarem chmielnym i siodu, to jest piwem. Co się zaś tyczy staropolskiego miodku, to trzeba przyznać, że wyszedł zupełnie z mody i należy już tylko do wspomnień minionej lepszej przeszłości. A szkoda, bo był to trunek i smaczny i zdrowy, że się powołam choćby tylko na fachową opinię s. p. pana Oaufrego Zagłoby. Co na to sponstponowanie owego staropolskiego trunku wpłynęło, nie wiem, pszczoły przecież jeszcze są, jak się sam o tem miałam sposobność przekonać w ubiegłym roku na swej osobie, gdy jedna z nich zupełnie niepotrzebnie wpakowała mi żądło w prawy policzek, co mym znajomym i przyjaciółm dało nawet asumpt do przypuszczeń, że moja Weronisia posłanie się stale lewą ręką... Chyba, że pszczoły robią teraz może zamiast miodu politykę, bo to dziś taka moda, że każdy tylko nią się zajmuje.

Tak jest, czy owak to mi wszystko jedno. Konstatuję jedynie fakt, że jest zupełnie źle i że wesołe święta Wielkiejnocy spędzimy wobec tego głodno, chłodno i sucho, rozmyślając nad zaikomością losów ludzkich i prosząc Boga, aby ta wojna już się raz przecież skończyła.

Sześć tygodni postu przeszło nam jak biczem strzelił, po raz szósty nawołuję w tym czasie P. T. Czytelników do opamiętania, starając się nastroić od powiednio do chwili, co mi przychodzi tem łatwiej, iż sytuacja nie przedstawia się bynajmniej różowo, a nikt nie wie, ani nawet przewidzieć nie jest w stanie kiedy to wszystko może się zakończyć i jaki weźmie obrót.

Cieszyłem się już z góry, że szósta kronika wielkopostna będzie smutną i gorzką tylko w połowie, drogą stanowiąc przejście do weselszych czasów, bo świątecznych, dziś w dół, że tego wielkopostnego nastroju dotąd się nie pozylem i że trudno będzie od niego odwyknąć. Chyba, że wojna się tymczasem skończy, nastanie wiosna w przyrodzie i polityce i danem nam już raz będzie odetchnąć swobodną pierś i naszym własnem powietrzem, którego używania nikt nam nie śmie zabronić, bo ono nasze, nie rozdzielone żadnymi słupami granicznymi!

Oby owo życzenie spełniło się jak najprędzej! Powtarzam je raz jeszcze na zakończenie kroniki i każdej z Czytelników i Czytelniczek na sercu, niech nie zapomina, że jest jednostką w wielkim, mającym prawo do życia organizmie, który tylko wtedy może należycie spełniać swe funkcje, jeśli wszystkie jego części pozostają ze sobą w miłej zgodzie i karności, jeśli między nimi niema przykrych zgrzytów i dyssonansów.

Jeśli każdy i każda o tem nie zapomni, ale wszyscy wezmą się do pracy, mającej ogólne dobro na celu, w takim razie chwila naszego zmartwychwstania bliska, a tem miłsza i pożądanjsza, iż już zaczynaliśmy wątpić w jej nadejście.

Wszystko budzi się dziś do życia i nam do niego rwać się należy. Świat stoi przed nami otworem, ale iść musimy przebojem, leżąc tylko na sobie samych, a nie zdając się na pomoc obcych, która dotąd zawsze zawodziła.

Chciałem się zabawić w owego dziada z odpustu kalwaryjskiego, który na żądanie śpiewał raz wesoło, raz znów ze smutkiem i zakończyć kronikę czemś weselszem, niestety, widzę że brak miejsca paraliżuje me najszybsze chęci.

Znając tonu chowam więc na następny tydzień, w międzyczasie postaram się nastroić należycie kronikarską fajkę, by godnie sprostać trudnemu zadaniu. Nie zapominaj wóczas i o mej zacnej połowicy, nadobnej Weronice, którą w ostatnich czasach, jak mi może słusznie zarzucano, nieco zaniedbywałem.